

jeszcze, a nawet długi czas nie czuła potrzeby silniejszego przywiązania. Halaśliwe życie, prowadzone z dnia na dzień, nie pozwalało zastanawiać się jej głębiej nad sobą. Życie to wystarczało jej na razie i nie pragnęła innego. Ale w dniu, w którym poznała Jerzego, zaszła w niej nagła zmiana. Nie wiedziała, jak się to stało, ale odtąd zdawało jej się, że nie żyła jeszcze prawdziwie i odkryła w sobie porywy i uczucia, których nie знаła przedtem.

Pragnęła być kochaną przez tego, który stał się powodem tej zmiany gwałtownej i przystąpiła do urzeczywistnienia swoich marzeń z silnym uporem i stanowczością, tak, jak gdyby chodziło o przyszłość jej całą.

Ogarnęła ją jedna tylko myśl, jedno dążenie: Jerzy! Chciała go widzieć, mówić z nim, słyszeć od niego, że jest piękną i kocha ją.

Obojętność, którą napotykała od początku, podrażniła ją tylko, a nie zniechęciła.

Miała godziny buntu szalonego, rozpacz i żalu, którym jednak towarzyszyła skryta nadzieja zwycięstwa. Odnalazła nawet w nieszczęściu swoim dziką radość, tak silnie opanowaną była nieznanymi jej dotąd uczuciami. Dotknięta miłością własną spotęgowała tylko jej pragnienie i, nie zastanawiając się, ślepo szła naprzód, pchana siłą, której nie starała się nawet zwalczać.

Raz nawet zdawało jej się, że tryumf jest bliski. Było to na zabawie w willi pułkownika. Ale tej nocy tyle intryg innych rozwijało się wokoło, jej los własny tak ściśle związany był z katastrofą, dotyczącą barona d'Esclairs, że nie zdołała wyzyskać dostatecznie sytuacji.

Zresztą i na nią samą wówczas czyhało niebezpieczeństwo.

Zaledwie bowiem opuściła zabawę i powróciła do swojego mieszkania, uczuła się tak słabą, że była zmuszona zawezwać lekarza, który zbadawszy ją, orzekł, że choroba jej może być nawet śmiertelną.

Przypomniała sobie wówczas pierścione, wręczony jej przez pułkownika Roberta i nabrała przekonania, że jest już na zawsze stracona.

Od tej chwili nie mogła już myśleć o czym innym. Jasne było, że pułkownik miał zamiar otruć ją, ponieważ odkrył, że należała do rodziny Bonnetów, nad którą zawisł już był nieodwołalny wyrok śmierci. A więc pułkownik był tym tajemniczym mordercą, na którym ciążyło już kilka zbrodni i który dotąd odkrytym jeszcze nie został.

Przekonanie to spotęgowało gorączkę męczącą ją noc całą, nad ranem nawet straciła przytomność umysłu i nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokoło niej działo. Czuła tylko niewyraźnie, że przeniesioną została do innego mieszkania, ale o rzeczach i osobach ją otaczających nie miała jasnego wyobrażenia.

Kiedy nareszcie przyszła do przytomności i normalnie myśleć zaczęła, nie wiedziała, jak długo trwała jej choroba od chwili opuszczenia willi pułkownika. Gdzie była? Kto czuwał nad nią?

Nie poznała pokoju, w którym leżała i w pierwszej chwili po przebudzeniu, wzrok jej zamglony padł na człowieka, siedzącego w nogach łóżka. Olivia była prawie pewną, że twarz tego człowieka już gdzieś widziała.

Co chciał od niej i dlaczego znajdował się tu, w jej pokoju. Chciała się unieść na poduszkach, lecz nieznajomy powstrzymał ją natchmiał ruchem ręki.

— Kto pan jesteś? — zapytała wkońcu ledwie dosłyszalnym głosem, starając się obudzić w zmęczonej głowie wspomnienie jakiegoś.

— Przyjacieli! — brzmiała odpowiedź.

— Nazwisko pana?

— Buvard.

— Czego pan tu chce?

— Czego chcę? — zaśmiał się — Chcę po prostu ocalić życie pani.

— Jestem więc zagrożona niebezpieczeństwem? — zapytała z wysiłkiem.

— Była pani o krok od śmierci.

— A ktoś mnie przywrócił do życia?

— Ja.

— W jakim celu — co pan miał w tem za interes?

— Przedewszystkiem chodziło mi o panią... a potem, działałem w imieniu sprawiedliwości.

— A więc nie pomyliłam się — szepnęła Olivia — stałam się ofiarą...

— Zbrodniczego zamachu. — dokończył Bu-

vard — Tak, chciano otruć panią. Przypomina sobie pani, jak widzę — to dobry znak.

— Ale ktoś to?

— Wszystko nadejdzie o właściwej porze. Już pani lepiej, to widoczne, a to rzecz główna. Co zaś do reszty, potrzeba nam wiele przebiegłości i ostrożności.

— Gdzież ja jestem?

— W Saint-Mande. W domu, gdzie nikt pani poszukiwać nie będzie. Opuści go pani wówczas dopiero, kiedy pani powróci całkiem do zdrowia.

— Czy to prędko nastąpi?

— Za kilka dni.

Młoda kobieta odetchnęła głęboko, poczem podjęła znowu:

— Chciałabym jeszcze...

— Co takiego?

— Zapytać się.

— Proszę mówić.

— Pozostanę tutaj sama, a ponieważ, jak pan mówi, nie wiedzą, gdzie przebywam, nikt nie będzie mógł mnie odwiedzić.

— Czy pragnie pani widzieć kogo?

— Barona d'Esclairs.

— To niemożliwe. Baron miał sprawę z pułkownikiem i jeszcze nie przyszedł do zdrowia.

— Jest ranny?

— Tak, ranny. To wielkie szczęście, że nie umarł z tej rany.

— A więc, skoro pan nie może mi przyprowadzić barona, to poproszę pana o ułatwienie innej osobie przyjsia tutaj.

— Komuż to?

— Chcę widzieć pewną kobietę, którą znałam niegdyś. Jest ona bardzo dyskretna, sądzę, że będzie mi mogła dać jakieś wiadomości o niektórych osobach, na których mi zależy.

— Jak się nazywa ta kobieta?

— Pani Bruchon.

— Hm! Hm! — mruknął Buvard, zamyślając się głęboko i patrząc z pod oka na Olivie.

— Dyskretna! Być może — odparł, krzywiąc się — ale to kobieta, która nie działa nigdy bez osobistego interesu, a to rzecz niebezpieczna. Jednakże zobaczmy jeszcze.

— Ja się tak nudzić tu będę — skarżyła się młoda kobieta — szczególnie teraz, kiedy już powróciłam całkiem do zdrowia.

— To prawda. — poświadczył Buvard, patrząc na nią ze współczuciem.

— Zgadza się pan?

— Przyślę do pani jutro starą Bruchon.

— Oh! Dziękuję panu.

Nazajutrz więc Olivia mogła przyjąć u siebie starą handlarke i, wypytawszy ją dokładnie o to, co mówiono w mieście o zabawie pułkownika Roberta, i jej nagłym zniknięciu, przystąpiła do jedynej kwestyi, która interesowała ją bliżej — do Jerzego.

Zdziwiła się niemało, usłyszawszy od starej Bruchon, że młody człowiek stał się naraz bogatym, że posiada wspaniały powóz i konie, którymi przejeżdżał nieraz po lasku Bulońskim.

Olivia nie umiała sobie tej zmiany wytłumaczyć.

— Oh! Jakże go pragnę zobaczyć. — wy rzekła wzruszonym głosem.

— To, skarbie mój — odparła stara — jest zupełnie niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo, zdaje mi się, że chłopiec jest dobrze strzeżony zdaleka.

— Przez kogo?

— Tego wiedzieć nie mogę. Ale wiesz już co ci mówiłam o nim dawniej. On zajęty jest inną osobą, a twoje szanse...

— Co mi tam! To drobiazg! — zawołała żywo młoda kobieta.

— Mylisz się moja kochana. W jego wieku może to mieć wielkie znaczenie.

— Ależ, kogo on kocha? — zapytała Olivia, ze złością zagryzając wargi.

— Bardzo miłutką osobkę, którą znam i nad którą kazano mi czuwać.

— A więc ona jest u ciebie?

— Tak, na ulicy Pixecourt.

— A on ją widuje?

— Nigdy.

— Jakże ją kochać może, kiedy nie widzi jej wcale? Tego zrozumieć nie mogę.

— Czy ty kochasz go mniej, odkąd go rzadziej widzisz, moja kochana?

— A więc odmawiasz mi, mamu Bruchon? — zapytała z rozdrażnieniem Olivia.

— Tego jeszcze nie powiedziałam — odrzekła

stara — tylko mnsisz być cierpliwa i pozwolić mi przygotować teren.

— Będiesz z nim mówiła?

— Obiecuję ci to.

— I przyprowadzisz go tutaj? — prosiła błagalnym głosem Olivia.

Stara zmrużyła powieki.

— Dobrze! Dobrze! — rzekła — Widzę, że ci się dobrze wkraść do serca. Zrobię wszystko, aby cię zadowolnić. Czy jesteś spokojna?

Po tej rozmowie stara handlarke kilkakrotnie jeszcze odwiedziła młodą kobietę. Ale dotąd zamiary jej nie odniosły żadnego skutku. Cierpliwość Olivii była już doprowadzona do ostateczności. Całą siłą woli powstrzymywała się, aby sama nie przedsięwziąć w tym kierunku jakich kroków i nie doprowadzić swojego pragnienia do rzeczywistości.

Nadszedł wkońcu dzień, w którym wszelkie rozumowania opuściły ją zupełnie. Głęboka zadróżka pożerała ją więcej może jeszcze, niż to nieobliczalne uczucie, którego odepchnąć od siebie nie umiała.

Wiedziała, że Jerzy kocha inną kobietę, ale chciała oderwać go od niej, zmusić tamtą, której nie znała, do ustąpienia jej.

Wiedziała, że młoda dziewczyna, wybrana przez Jerzego, mieszkała w Belleville i ciągle myśli jej pomimowoli zwrócone były w tę stronę. Czuła, że przyciąga ją tam jakaś siła, której wytłumaczyć sobie nie mogła.

Co się tam działo, podczas kiedy trzymano ją, jak w więzieniu, w Saint-Mande?

Stara Bruchon pocieszyła ją, że Jerzy nie widuje tej młodej dziewczyny, ale stara Bruchon mogła kłamać.

Noce szczególnie były dla niej nie do zniesienia... Z oczami szeroko otwartymi i zapałzonymi w ciemność, spędzała je na rozmyślaniu gorzkim, targającym jej serce.

Pewnego wieczora, Olivia, pod wrażeniem niepokojących ją myśli, nie mogąc sobie znaleźć miejsca w pokoju, którego powietrze dusiło ją — ubrała się szybko, zarzuciła gęsty welon na głowę i kazawszy zawołać dorożkę, wsiadła do niej, każąc się wieźć do mieszkania starej Bruchon.

Kiedy przybyła na miejsce, noc już zapadła. Stara nie spodziewała się jej wcale i na jej widok wydała okrzyk zdziwienia.

— Ty, u mnie! O tej godzinie późnej? — zawołała, starając się pokryć zmieszanie.

— Dlaczego cię to tak bardzo dziwi, mamu Bruchon — odrzekła żywo Olivia.

— Czego tu chcesz?

— Chciałam z tobą pomówić.

— O czym?

— O tej młodej dziewczynie, którą kocha Jerzy — rzuciła gorączkowo Olivia.

— Mówiłam ci już...

— Mówiłam ci to wszystko, co chciałam — przerwała z rozdrażnieniem — a ja wierzyłam, lub nie, to moja rzecz. Teraz chcę ją widzieć, rozumiesz mnie, mamu Bruchon?

— O tej godzinie?

— Chcę ją widzieć, powtarzam. Wymyślisz jakiś powód, zrób zresztą, co chcesz, ja ją widzieć muszę i musisz mnie zaraz zaprowadzić do niej.

— Jesteś szalona, to niemożliwe — odparła zimno stara.

— Dlaczego?

— Ona nie jest uprzedzona o twojej wizycie. Poskarżyć się może pułkownikowi. Zastanów się tylko, Olivio, to, czego żadasz odemnie jest istnym szaleństwem i ja na to zgodzić się nie mogę.

Olivia stanęła nagle przed starą i zmierzyla ją ostrem, głębokim spojrzeniem. Twarz jej była blada, a oczy rzuciły niepokojące błyskawice.

— Ach! Ty kłamiesz! — zawołała, poruszona nagłym podejrzeniem. — Coś się tu dzieje, co chcesz koniecznie ukryć przedemną i ja zgaduję, co to jest!

— Gadasz głupstwa!

— Jerzy jest tutaj!

— Co za myśl.

— Jest tutaj — mówię ci, jest tutaj — przybliżając się tak do starej, że twarz jej dotknęła jej twarzy. — Mów, przyznaj się, słyszysz, no, przyznaj że się wreszcie!

Pochwyciła nerwowym ruchem ręce starej i wstrząsała je mocno. Na twarzy jej malowała się energia i wściekłość, pierś jej podnosiła się przyspieszonym oddechem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)